

POJEDYNEK Z AFRYKĄ

Z WARSZAWY DO KAPSZTADU.

Pod kołami luźny piasek, który szybko zamienia się w ostre kamienie. Dookoła pustka. Czujemy strach, ale konsekwentnie trzymamy kurs na południe. Afryka nieustannie uczy nas pokory.

Nawet najkrótszy postój gromadzi niezliczoną publiczność. Piotr na dachu Jeepa jest prawdziwą ciekawostką



Pustynia Namib - najsuchsza pustynia na świecie. Największe wrażenie robi o świcie, kiedy wstające słońce rozpala wydmy do czerwoności

W majowy poranek nasza dwuosobowa załoga zapakowanym po sam dach Jeepem wyrusza w podróż życia. W trzy dni przejeżdżamy Europę, z którą żegnamy się w Stambule. Mijamy Bliski Wschód i z Jordanią promem przedostajemy się do Egiptu. Tam chowamy na dno naszych plecaków zegarki. Jesteśmy w Afryce. Tu czas toczy się w zupełnie innym rytmie. Na powitanie wspinamy się na prawdziwą piramidę egipskiej biurokracji. Piątą godzinę krążymy po dusznych budynkach. Dym papierosowy utrudnia nam kontakt wzrokowy z celnikami. Pod pachą rośnie tona papierów i bardzo ważnych pieczęci. W końcu dostajemy podziurawione i pogięte tablice rejestracyjne w języku arabskim, które naprędce przykręcamy. Bez nich wjazd do Egiptu byłby niemożliwy. Przed nami walka o przetrwanie

ny, usiłuje przymocować linami Jeepa, by nie zsunął się do wody. Nagle kapitan ryczy, że barka odpływa. Piotr szamocze się jeszcze z linami. Zapina ostatni ekspander, po czym szybko przeskakujemy z barki na statek. Nie wiele brakowało a nasza podróż zakończyłaby się już u wrót Afryki. Spoceni i zdenerwowani padamy na koje w brudnej kajucie. Metalowymi drzwiami odcinamy się od chaosu, krzyków i nawoływań. Przed nami 17-godzinny rejs. Modlimy się, żeby Jeep – podróżujący osobno barką – bezpiecznie dopłynął do celu.

W Wadi Halfa, zasypanej piachem portowej wiosce, spędzamy dwa dni, czekając na nasze auto. Zatrzymujemy się u Magdiego, uśmiechniętego Nubijczyka, który pomaga nam w formalnościach. Śpimy na metalowych łóżkach pod gwiazdami, smakujemy pustynnych przysmaków i cieszymy się rodzinną at-



Afryka to przede wszystkim ludzie, których na swojej wyboistej drodze spotykamy. Chętnie odwiedzamy miejsca, gdzie można poznać obyczaje i kulturę tradycyjnych plemion. Poznajemy między innymi ludy Himba w Namibii, Mursi w Etiopii i niezbyt przyjazne plemię Samburu w Kenii

na egipskiej ulicy. Tu rządzi prawo silniejszego. Jeep porusza się slalomem, z trudem omijając przeszkody.

Docieramy do Aswanu, skąd przez Jezioro Nasserę przeprawiamy się do Sudanu. Od rana czekamy na załadunek Jeepa na prymitywną barkę. Spoceni mężczyźni ustawiają gigantyczne piramidy z paczek i pudeł. Nagle ktoś krzyczy i wymachuje rękami w naszą stronę. Ktoś przepycha się z gigantycznym kartonem na głowie, ktoś popędza zdeorientowaną kozę. Piotr próbuje wjechać na barkę, ale jest za wysoko. W mgnieniu oka pod kołami naszego Jeepa lądują płócienne worki o nieokreślonej zawartości, po których przetacza się auto. Barka niebezpiecznie przechyliła się na lewą stronę. Przewracając się ułożone misternie paczki. Piotr, nieustannie popycha-

mosferą. Nagle dostajemy sygnał – Jeep jest w porcie. Na widok dwóch cienkich, pokrzywionych desek, po których ma stoczyć się wążący blisko trzy tony samochód, robi nam się słabo. Kapitan barki wskazuje na trapy na dół, że to jednak solidna konstrukcja. Magdi znacząco poklepuje Piotra po ramieniu, udzielając tylko jednej rady: „Zrób to szybko!” Piotr wciąga w płuca gorące, sudańskie powietrze i pewnie naciska pedał gazu. Słyszę bicie mojego serca. Trzask. Jedną z trap jeszcze bardziej się wygina, ale Jeep jest już na brzegu. Błady kierowca wyskakuje z auta nie kryjąc radości. Nagradzają go gromkie oklaski.

Skupiamy się na drodze, ale też bacznie obserwujemy, co dzieje się za oknem. Zmienia się nie tylko krajobraz. Pociągłe i śniade twarze arabskie powoli ustępują miejsca okrą-

Jeep afrykański

Już rok przed rozpoczęciem wyprawy kupiliśmy Jeepa Grand Cherokee, by przysposobić go do trudów wyprawy. Podnieśliśmy zawieszenie o cztery cale, założyliśmy nowe sprężyny i amortyzatory, a szosowe opony zamieniliśmy na terenowe (AT - 32 cale). Spodziewając się kamienistego terenu, osłonami zabezpieczyliśmy skrzynię biegów, reduktor i chłodnicę. Dodatkowe wyposażenie to wyciągarka oraz tzw. snork (do przekraczania okresowych rzek). W buszu stacji benzynowych raczej nie przewidziano, a jakość paliwa w Afryce bywa różna - w bagażniku znalazło się więc 12 kanistrów (każdy po 20 l), a w miejscu po zapasowym kole zamontowaliśmy dodatkowy, 70-litrowy zbiornik. W sumie, **na pokładzie stale mieliśmy zapas 380 litrów paliwa. Katalizator zostawiliśmy w domu.** Do bagażnika i na dach Jeepa, oprócz standardowych bagaży i wyposażenia biwakowego, wrzuciliśmy masę części zamiennych i narzędzi. Jeep palił średnio 19,5 litra na 100 km. W sumie zużyliśmy około 4 tysięcy litrów paliwa. Na miejscu okazało się, że auto nie traci mocy jadąc nawet na 80-oktanowej benzynie. Po przebyciu ponad 21 tysięcy km, w RPA załadowaliśmy naszego Jeepa na statek i po trzech tygodniach odebraliśmy w Gdyni.



Pod kołami pordzewiałe beczki, utrzymujące barkę na powierzchni



Na granicy, w Egipcie przykręcamy podziurawione tablice w języku arabskim



Stacja Shell w Iepiance. Niestety, nie ma punktów na kartę lojalnościową

głym czarnym policzkiem i szerokim nosom. Długie, powłóczyście szaty zasłaniające kobiece kształty zamieniają się w kuse stroje, nie zawsze zakrywające piersi i uda. Codziennie doświadczamy kontaktu z ludźmi i poznajemy miejscowe obyczaje. Niektórzy zapraszają nas do domu i częstują skromnym posiłkiem, inni traktują, jak żywą skarbonkę.

Mijamy niewielkie etiopskie miasteczko, w którym nie brakuje obowiązkowych stołów do ping-ponga. Przy dwóch tłoczą się chłopcy i młodzi mężczyźni, obserwując zaciekle rozgrywkę. Zatrzymujemy się. Wystarczy, że jeden nas spostrzeżę. Wkrótce nic już nie widzimy przez boczne szyby, bo niezliczona ilość głów przypatruje się nam i Jeepowi. Zapraszają Piotra do gry. Nie odmawia, choć ostatni raz grał w liceum. Przeciwnikiem jest kilkunastoletni chłopak z bystrą twarzą. Gra toczy się na poważnie, zwłaszcza że przegrany płaci właścicielowi za stół. Stoje w szeregu rozemocjonowanych kibiców, dobrze się bawiąc. Po chwili czuję na dłoniach dotyk małych rączek. Jest ich aż osiem. Dzieci przytulają się.

Zauważam, że jestem jedyną kobietą w tym towarzystwie. Oprócz moich najmłodszych towarzyszy, nikt na szczęście nie zwraca na mnie uwagi. Kilkadziesiąt par oczu śledzi niewielką białą piłeczkę.

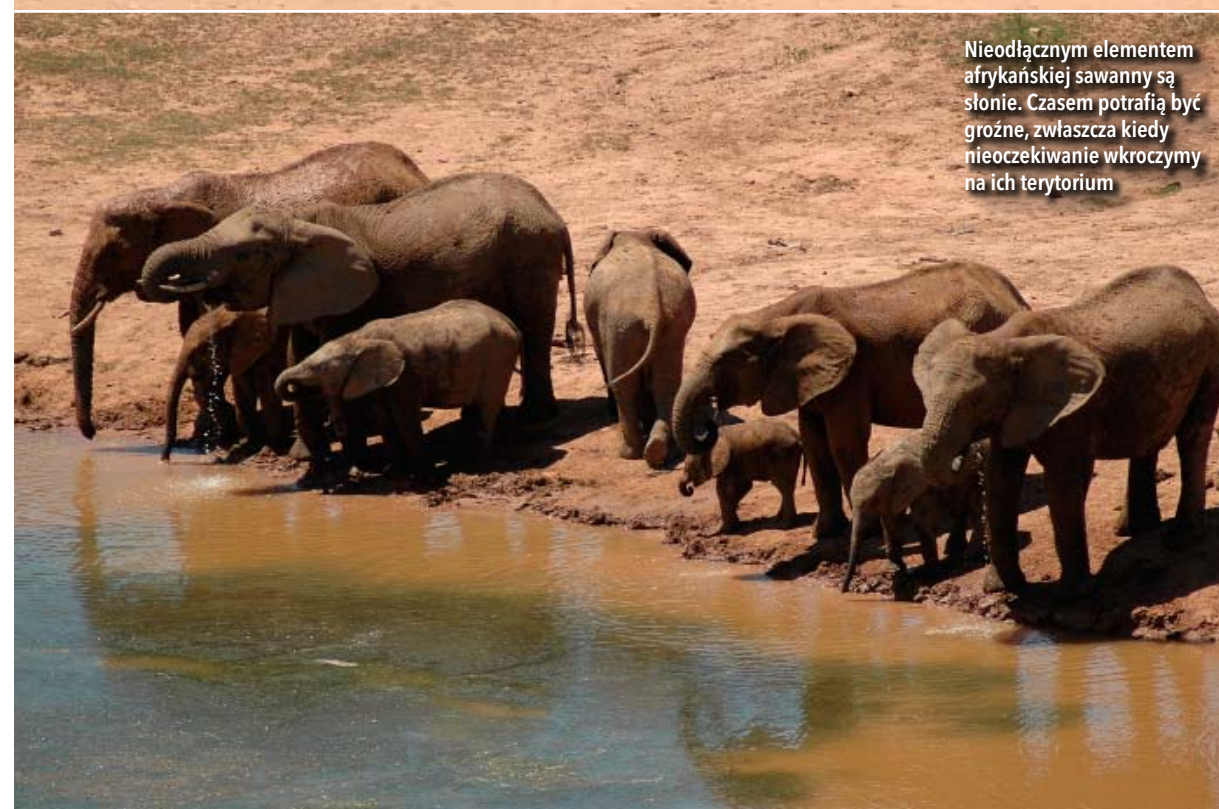
Piotr przegrywa jednym punktem, gratulując zwycięstwa Tadresse. Zostawiamy podwójną stawkę za stół, tonę cukierków i długopisów i odjeżdżamy w swoją stronę. Długo widzimy w lusterku wstecznym gromadkę ludzi machających nam na pożegnanie. Dla obu stron to niecodzienne spotkanie.

Wjeżdżamy do Zambii. Za nami prawie 13 tysięcy km i tylko drobne awarie, nie wpływające na szczęście na tempo podróży. Minęliśmy zwrotnik Raka i równik. Cel - najdalej wysunięty na południe skrawek Afryki - coraz bliżej.

Obieramy kurs na Lusakę, stolicę Zambii, i nie słuchając ostrzeżeń miejscowych zjeżdżamy z głównej szosy. Kierujemy się do Parku Narodowego South Luangwa. Wcześniej tankujemy zbiorniki do pełna i robimy zapas jedzenia. Rychło polna droga zaczyna stromo



Egipt. Stoimy u wrót Afryki, mocno wierząc w powodzenie naszej misji



Nieodłącznym elementem afrykańskiej sawanny są słonie. Czasem potrafią być groźne, zwłaszcza kiedy nieoczekiwanie wkroczymy na ich terytorium



Zambia - Wodospady Wiktorii, uznawane za największe na świecie. Z daleka słychać huk wody, spadającej z wysokości 111 metrów



Kapsztad. Widok z góry Stołowej jest nagrodą za stres i trud, towarzyszące nam w drodze

Nasz niezbędnik

15 885 km po bezdrożach Afryki

Wystartowaliśmy z Warszawy 31 maja, a na Przylądku Dobrej Nadziei stanęliśmy 3 sierpnia 2009 r. Przejechaliśmy 16 państw (m.in. Syrię, Jordanię, Egipt, Sudan, Etiopię, Kenię, Tanzanię, Zimbabwę, Zambię, Botswanę i RPA), minęliśmy dwa zwrotniki i równik. Przed wyjazdem zaszczepiliśmy się na żółtaczkę typu A i B, żółtą febrę, polio, dur brzuszny i meningokoki, zabraliśmy m.in. leki przeciw malarii oraz zestaw przeciw ukąszeniom węży i skorpionów. W warszawskiej ambasadzie uzyskaliśmy wizę do Syrii, w Londynie (poprzez pośrednika konsularnego) do Etiopii, w Kairze - do Sudanu. Do Turcji, Jordanii, Egiptu, Kenii, Tanzanii i Zambii wizy wykupiliśmy na granicach. Z Polski zabraliśmy jedzenie, w Egipcie zrobiliśmy potężny zapas butelkowanej wody (do picia i toalety) - około 60 litrów.

21 tysięcy km to trasa całej ekspedycji z Warszawy na Przylądek Dobrej Nadziei. 2050 kilometrów wiodło przez Europę, 2654 km przez Bliski Wschód, ponad 15 tysięcy - przez Afrykę

Jesteśmy „na końcu świata”. Za nami 21 tys. km, na plecach ciężki bagaż doświadczeń, a w głowie jedna myśl - marzenia się spełniają



piąć się do góry, żeby za chwilę nieoczekiwanie spaść w dół. Przepływająca tędy w porze deszczowej rzeka zostawiła ogromne kamienie i głazy. Koła ześlizgują się ze stromego uskoku, słyszymy głuchy chrobot. Wyskakujemy z auta. Niegroźnie oberwała osłona skrzyni biegów. Tuż obok mojej, ubranej w cienki sandał stopy prześlizguje się brązowy wąż. Nieruchomieję. Po chwili znika w zaroślach.

Przed maską wyrasta drewniany szlaban. Wjeżdżamy do wioski, gdzie mówią nam, że główny szlak wiodący do parku jest odcięty przez rzekę. Na dachu Jeeпа sadowi się James, który zostaje naszym przewodnikiem. Prowadzi nas inną drogą do przeprawy pontonowej. Kamienie ustępują luźnemu piaskowi, z którym Jeep dzielnie walczy. Nie zauważamy ogromnej kłody, urywamy czujnik ABS.

Już od ośmiu godzin bujamy się na boki na ogromnych koleinach, a wskaźnik kilometrów jakby stał w miejscu. Nagle na drogę wychodzi rodzina słoń. Nie są zadowolone z naszej wizyty. Chwilę stoimy naprzeciw siebie, mierząc siły. Pierwszy ruch należy do zwalistego ssaka. Napręża się, stawia ogromne uszy i rusza w naszą stronę głośnie rycząc. Odpowiedź jest natychmiastowa. Wsteczny i gaz. To mu wystarcza. Chowamy się za zakrętem, odzyskując miarowy oddech. Dopiero teraz uświadamiamy sobie, że na dachu siedzi nasz przewodnik. Dobrze pół godziny czekamy, aż słoń się odda. Niestety, kończy nam się paliwo. Rezerwa mruga do nas znacząco. Musimy się zatrzymać i dolać benzynę z kanistra. Piotr tankuje, a my z Jamesem obserwujemy okolicę. Nerwowo się rozglądam, ale na szczęście słoń nie widać.

Docieramy do obozu. Nie zauważam żadnego ogrodzenia. Znad pobliskiej rzeki dobiegają nas odgłosy hipopotamów. Dzieli nas od nich wysoki brzeg. Ostionięci jedynie cienką moskitierą, nie możemy zasnąć.

Rankiem zabieramy się do drugiej rundy walki z buszem. Nieoczekiwanie staczamy się w piaszczystą nieckę, którą przepływa rwąca rzeczka. Piotr wrzuca wsteczny bieg, ale koła bezskutecznie buksują w luźnym piachu. Poddajemy się. Próbuje do przodu, ale najpierw **trzeba sprawdzić, co kryje się pod zamulonym lustrem wody. Kilkaset metrów dalej wylegają się ogromne krokodyle.** Siedzimy bezradnie. Nagle zdesperowany Piotr decyduje się wejść do zdradliwej rzeki. Nie waha na moje krzyki i protesty. Kiedy woda sięga połowy ud, zaczynam histerycznie płakać. Oczy mi wyobraźni widzę go w paszczy potężnego gada. Piotr wyskakuje z wody. Wsiada mokry do auta, zapina reduktor, z impetem wciska pedał gazu i przejeżdża muliste dno. Koła się ślizgają, ale już po kilku sekundach jesteśmy bezpiecznie po drugiej stronie barykady.

Przed nami rzeka Oranje - naturalna granica pomiędzy Namibią a RPA. Jeszcze tylko 611 km i cel jest nasz. Rychło naszym oczom ukazuje się dominująca nad Kapsztadem góra Stołowa. Z ust wyrwa się okrzyk radości. Mamy ochotę wszystkim oznajmić, że się udało. Czym prędzej pędzimy na Przylądek Dobrej Nadziei. Stoimy na naszym końcu świata, nie mogąc pohamować emocji. Przed nami bezkres oceanu. Dalej już tylko Antarktyda...

Tekst: IZA WITKOWSKA, Zdjęcia: PIOTR WITKOWSKI
Więcej na: www.naszmysladem.pl